

# Kronika tygodniowa.

Nie uważałem się nigdy za zbyt wielkiego polityka, (czego dowodem, iż nie otrzymałem, podobnie jak amerykańscy meżowie stanu w Nowym Jorku, bomby dynamitowej zapewne, w dowód uznania), ale widzę, że miałem rację, kończąc poprzednią kronikę oświadczeniem, że z takimi ordynarnymi bandytami, jakimi się okazali Rusini, fałszywi Ukraińcy, nie powinno się zawierać żadnego zawieszenia broni, ale pędzić hołotę naprzód, choćby nawet nad samo morze Czarne i w niem ją potopić.

Dla tak czarnych charakterów najodpowiedniejszą byłoby właśnie ono, uznane już przez Moskali za morze „istieno ruskie”. Rusini, czyli, jak oni się sami chcą nazywać, Ukraińcy, dopuszczali się wobec nas zawsze, szczególnie zaś w ostatnich czasach tylnych łajdactw, że powinniśmy stanowczo zrezygnować raz na zawsze ze zgodnego z nimi współżycia, jak bowiem zbieramy na każdym kroku dowody, jest to złośliwy, jadowity gad, dyblący na naszą szkodę i zgubę.

Polskie społeczeństwo prawie w całość, bo chyba tylko z wyjątkiem tych, którzy świadomie działają na niekorzyść narodu, zgadza się z moimi wywodami, a dowodem tego liczne wiece i powzięte na nich rezolucje, oraz głosy prasy wszelkich odcieni, z wyjątkiem chyba tej, jaka zostaje na żółdziej pruskim, domagające się otwarcie i głośno definitywnego zakończenia z nimi, a nie bawienie się w jakieś półśrodki, do niczego nie wiodące.

A nasz Rząd warszawski ogromnie się w nich lubuje i widzi w tem całą swą mądrość polityczną, aby Pann Bogu zaświecić świeczkę, a nie zapomnieć i o ogarku, przeznaczonym dla dyabła.

Koalicya może sobie mówić, co się jej podoba, my mamy swych dyplomatów, którzy powinni ponęczyć zagranicę o tem, co to za zacz są ci panowie, przedstawiający się wobec świata stale jako ofiary polskiej tyranii i ucisku, choć, kto zna stosunki galicyjskie z czasów austriackich, ten wie, że było wprost przeciwnie. Rusin był zawsze protegowany przez władzę rządową, miał wszędzie pierwszeństwo, odważał się też swym protektorem bezwzględnie posłuszeństwem i prawie automatycznym spełnianiem rozkazów, choćby nawet wbrew swym własnym narodowym interesom.

Cała ta komedia z Ukrainą wschodnią i zachodnią to właśnie dzieło Wiednia i Berlina, które ją forytowały na naszą zgubę, a same sobie na niej zęby wyłamały.

Zębów tych jednak nie szkoda, gdyż były już należyte stare i spróchniałe.

My, Polacy, żadnej Ukrainy ani narodowości ukraińskiej nie znamy, tem mniej zaś wyznania „ukraińsko-katolickiego”, wiemy natomiast, że we wschodniej Galicyi mieszkają Rusini, z którymi tyle lat żyliśmy w zupełnie znośnym stosunku wzajemnym.

I miałem rację prezydent Paderewski, twierdząc, że my „z Rusinami walki nie toczyliśmy, ale z bandami hajdamackich bandytów” i dlatego też wyikała z tego konsekwencya, że z bandytami układać się nie powinno, a nawet nie wypada.

Bo w samą rzecz, zupełnie co innego jest Ruś, a co innego Ukraina.

Ruś Czerwona, to ten ogół spokojnych mieszkańców, którzy tutaj z działa i pradziada osiedli, pracują w pocie czoła na roli na kawałek chleba i uważają, że Polak to brat, z którym można żyć w zgodzie, nie zważając jeden drugiemu.

Natomiast „Ukraina”, to zalkoma garstka, wyszła z tego ruskiego ludu, która narzucała się mu na opiekuna i przedstawiciela, wmawiała mu, że Polak to jego największy wróg i krzywdziciel. Ponieważ zaś w planie przez nich głoszonej, jak wogóle w programach demagogów wszelkich odcieni, znajduje się na pierwszym miejscu konfiskata majątków wielkim obszarnikom, a rozdanie ich ludowi, agitacja jest najpewniejsza i najłatwiejsza.

Śmiało można powiedzieć, że chłop ruski nie jest bynajmniej wrogiem Polaka, ale nieprzyjacielem swego widzi w każdym obszarniku, choćby nim był nawet tryban ukraiński, rumuński, pochodzenia, baron Wasilko.

Ze zaś we wschodniej Galicyi pojęcie „obszarnik” jest prawie równoznaczne z „Polak”, nie też dziwnego, że antypolskie propagandy, sierzane między ciemnym ludem za niemieckie pieniądze, znajdowały zawsze bardzo chętny posłuch, zwłaszcza u młodego pokolenia, wychowywanego tendencyjnie w nienawiści do wszystkiego, co polskie.

W samej więc rzeczy nie prowadzimy obecnie wojny z narodem ruskim, lecz z Ukrainą, a tak zwane hajdamackie hordy, które na każdym kroku niszczą we wschodniej Galicyi wszelki dobytek kultury pol-

skiej, są kierowane przez tych, którzy się sami nazwali „Ukrainą”, a powinni stanowić wykwit tego, co w narodzie ruskim najlepsze i najszlachetniejsze.

Ta garść agitatorów, to Ukraina, za nimi stoi ciemny, i bezmyślny tłum. Tak było za czasów Chmielnickiego, zupełnie to samo powtarza się i dzisiaj.

O tem jednak, niestety, wiem tylko my sami i to do tego nie wszyscy, gdyż jest między nami wielu, którzy o tem wiedzieć nie chcą, nie jest jednak poinformowana, a jeśli jest, to fałszywie i tendencyjnie, koalicya.

I właśnie główne zadanie naszych dyplomatów stanowić powinno otwarcie Europy oczu na tę kwestyę, nawiązywać ją choćby nawet „ukraińską”.

Sorawa załatwienie stosunku naszego do tak zwanej Ukrainy i to załatwienie definitywne, jest zaś kwestyą dla nas pierwszorzędnej znaczenia i to szczególnie teraz, gdy, jak się wydaje, jesteśmy w przededniu wojny z Niemcami. Nie zapomnijmy o tem, że na „Ukrainie” mlie są wielkie marki, a Niemcy, choć niby położone na obie łopatki, jedyne miejsce dla swej ekspansji widzą na Wschodzie zwłaszcza zaś Ukrainę uważają za ziemię obiecana obfitującą we wszystko, czego tylko zapagnie niemiecka dusza i żołądek.

Łatwo więc stać się może, że znajdziemy się między młotem a kowadłem, jeśli sami nie uporządkujemy stosunku swego do wschodnich sąsiadów i to tak, jak sami uważamy za najlepszą, a nie jak tego żąda koalicya, znająca Ukrainę tylko z komunikatów barona Wasilki i stronniczych sprawozdań różnych misji i komisji, których było wprawdzie dość, ale nie miały na to ani czasu ani sposobności, aby sprawę załatwić należyte i sumienne.

Koalicya zbytlibo faworami darzy Ukrainę, widząc w niej naprawdę jakąś męczennicę, nie też dziwnego, że rozzuchwaleni tem ukraińscy politycy stawiają żądania wprost przeciwne polskiemu interesowi. Zadają naturalnie uznania niepodległej i zjednoczonej Ukrainy w granicach, jakie oni oznaczają, uznania dotychczasowego rządu i, kto wie, czy przypadkiem nie zechcą, aby koalicya ukarała Polaków, że się śmiały upominać o swe prawa.

Półki czas, należał Ukrainę wybić z głowy te mrzonki i to w sposób radykalny, choćby się to nawet miało nie podobać niektórym naszym politykom. Niezależną Ukrainę mogą mieć, ale tylko tam, gdzie ona była, to jest za Dnieprem, a nie tutaj, gdzie jej nigdy nie było, a zrodziła się dopiero w mózgach młodej generacji, wychowanej troskliwie przez Austrię w duchu antypolskim.

Zresztą te całe morza krwi i łez, wylanych przez Polaków „pod rządami ukraińskimi”, te tysiące w tak bestyalski sposób pomordowanych ofiar wymagają serwo porachunku... A jakim on być może i być powinien o tem niema dłużej zdań. To czemu są dziś Rusini, mają do zawdzięczenia tylko Polakom w zamian dali im nienawiść do wszystkiego, co tylko technie polskością.

A my mimo to obchodzimy się z nimi prawdziwie po rycersku, tak, że kat Polaków ze Stryja, Holubowicz Kraków wybiera sobie jako miejsce bezpiecznej kryjówki.

Jak zaś Ukraińcy kłamią przytem bezczelnie, dowodem żądanie, wystosowane pod adresem koalicyi, o pomoc do walki z bolszewikami z którymi ręka w rękę ciążą razem przeciw Polakom!...

Bo, że Niemcy tak łatwo nie wyrzekną się Śląska Górnego, w to chyba nikt nie wątpi. Ziecydowali się wprawdzie na przyjęcie warunków traktatu pokojowego bez zastrzeżeń i na dokonanie tego aktu wyznaczono dzień 28. czerwca, łamią sobie przecież nad tem głowy, co robić i jak robić, aby świat oszukać.

I wpadli na pomysł, jak im się wydaje genialny, gdyż w chwili, gdy ich delegacya jedzie do Wersali, aby tam w galerii zwierciadlanej złożyć swe podpisy na traktacie, zagrożone kresy wschodnie mają tymczasowo oderwać się od germańskiego pnia, pochylającego się właśnie przed koalicyą i samorzutnie wypowiedzieć wojnę Polakom w obronie tej ziemi, która w swem łonie kryje takie skarby. Hindenburg, ta nadzieja wszystkich Niemców, żyje jeszcze i chętnie zbierałby nowe laury na polu chwały, część więc Niemców, nie mogących się pogodzić ze stratami terytoryalnymi, przebiegają do wojny, nie pomnać, że los jest zwodniczy, a bogini szczęścia zamiast bobrowego wieńca tryumfu lubi czasem pokazać najzwyklejszą... figę!

Bardzo żałuję, że z kroniką nie mogę poczekać bodaj do niedzieli, tymczasem bowiem sytuacja jakoś się może wyklaruje. Niestety, nie mogę pracy odkładać na później. Krakowowi gromi brak oświetlenia z powodu wstrzymania transportów węgla dla elektrowni i gazowni, kronikarz zaś wieczorną porę, gdy ogólny już spokój nastanie, wybrał sobie, jako najodpowiedniejszą do rozmyślań tygodniowych.

Widzę jednak już dziś oczyma mego ducha, nie-

bezpieczeństwo, jakie nam grozi. Z jednej strony będziemy mieć do czynienia z naporem Niemców, a tyły mogą nam łatwo niepokoić ich przyjaciele, ukraińscy hajdamacy.

Dałby Bóg, bym się mylił, najbliższa przyszłość pokaze, czy miałem rację, czy nie.

Na razie dam więc polityce spokój, a na porządek „tygodniowy” wezmę kwestyę „braków” tak dziś popularną.

Już to Kraków, choć czynnik miarodajny inaczej głośno mówi, nawet w oficjalnych wywiadach, ciągle cierpi na jakiś brak, aczkolwiek aprowizatorzy przynajmniej udają, że pracują w pocie czoła dla dobra ogółu, ale też, aby przy tej sposobności dla ich kieszeni się coś okroliło.

Mają rację. Teraz ciężkie czasy, trzeba więc należyte chodźć koło swych własnych interesów. Ogół ma do takiego jegomościa nawet daleko większe zaufanie, przypuszczając, może i słusznie, że tem troskliwiej zajmie się, sprawami obchodzącymi całe społeczeństwo.

Pozostałość z s. p. austriackich czasów, resztki różnych centrów, urzędów wywozu i przywozu i t. p. utrzymują stale aprowizacyę i przyczyłają się do tego, że zawsze musi czegoś brakować, aby paskarze mogli robić dobre interesy.

Niejednokrotnie wchodzi też w grę nieład i próżniactwo, dwa kardynalne „przymioty” (nie mówiąc już o nieumiejętności...) naszych największych nieraz dygnitarzów.

Ot, nie tak dawno temu pewien przemysłowiec starający się o przydział węgla, usłyszał od pana referenta odpowiedź, że ich z powodu zupełnego braku nie dostanie, a równocześnie odezwał się dzwonek telefonu, przez który zawiadamiano, że jeżeli wozy z węglem nie zostaną uuprzątnięte, (proszono o to po raz trzeci, czy czwarty!) będzie je kolej musiała wysłać dalej, gdyż utrudniają normalny ruch na stacji.

Czego jednak największy brak i bez czego, jak się obecnie okazuje, nie mogą się absolutnie obejść Krakowianie, to tytoń, choćby nawet zebrany na plantacjach miejskich lub w Sikorniku. Dowodem, ogony coraz potworniejszych kształtów i przerastającej długości, złożone z przedstawicieli i przedstawielek wszystkich trzech rodzajów.

Zwłaszcza zaś rodzaj żeński, choć, w razie zaprowadzenia kart tytoniowych, nie mający uprawnień do zakupu tytoniu i cygar, najenergiczniej i najwymowniej się o nie dopomina, czego dowodem była kiedysiejsza babska (fenzywa na głównego trafikanta, p. Bujaszkiego, co pociągnęło za sobą niezbyt fortunne i taktowne wystąpienie członków Straży obywatelskiej, rzekomo w jego własnej obronie, „aby mu iba nie rozbiło”, jak się publicznie jeden z panów urzędujących delikatnie wyraził.

Tłumowi nie zawsze można bezwzględnie ulegać, gdyż w ten sposób wyrabia się w nim przekonanie, że wszystko stać się musi tak, jak on sobie tego życzy. Jednem słowem, wyrabia się w ten sposób pewnego rodzaju dyktaturę proletaryatu, nie wiodącą do niczego dobrego.

Gdyby to o chleb chodziło, to co innego, z powodu braku tytoniu jeszcze nikt nie umarł. Rozindygowane przedstawicielki pieli nadobnej (jeśli mi się tak wyrazić wolno...) krzyczały więcej z przyzwyczajenia, niż z przekonania, ta „uleobsłużona” część ogonka tytoniowego składała się zaś przeważnie z takich osobników, które i cały dzień chętnie stoja przed trafiką, gdy zaś nabędą paczkę tytoniu za pięć koron, spieszą z nią zaraz „na giełdę” pod Sukienkami, gdzie notowana jest obecnie trzydzieści koron, nawet więcej.

A chyba opłacić się cały dzień nie nie robić, wygadać się należyte i zarobić za to jeszcze około dwadzieścia pięć koron. Kto zaś sprytay, „obróci” w dzień „faszanki” i dwa razy.

I warto to ciężko pracować, skoro w tak łatwy sposób można sobie zupełnie przyzwolcie coś niecoś zarobić..

Ale i magazyn nie jest bez końca. Tytoniu może zabraknąć, zwłaszcza, że jest go coraz mniej i oto powód niezadowolnienia wyczekujących, którego ofiarą staje się biedny trafikant, nie będący Salomonem i nie umiejący nalać z próżnego...

Gdy się w magistracie zgłosiła deputacya z narzekaniem na brak cukru i gdy jej oświadczone, że nie nadstąpi, więc go niema, uwierzono na słowo, nikt nie chciał na swoje własne oczy konstatować, że w magazynie pustki, a chyba łatwiej sobie wytłumaczyć zdenerwowanie przedstawicieli pieli pięknej z powodu braku słodyczy, do życia naprawdę niezbędnej (zwłaszcza, jeśli się jest amatorką kawy...), niż ordynarnego, śmieszającego tytoniu, zamieniającego w obrzydły komin mlie, różowe usteczka... (ale nie tych niewiast, które przed trafiką demonstrowały!...)